№ 46 Warszawa, dnia 14 (2) Listopada 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

I.W.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

(Ciąg dalszy).

Janina mimo pięknej urody, bogactwa i wdzięku nie wyszła zamąż; wspólnie ze starym Babtystą, była opiekunką cierpiącego ojca. Woziła ze sobą cały arsenał barometrów, hygrometrów, hygroskopów i starannie zbierała barometryczne diagramy pogody, aby w razie zbliżającej się burzy być zawsze w mieszkaniu. Ponieważ stary był uparty i nie pozwalał, aby z nim rano chodzili, i odbywał spacery sam, przeto Janina najęła z miejscowych ludzi opiekuna, który zawsze z daleka śledził ojca.

Przeszło prawie dwa tygodnie, jak obcowałem z rodziną de Brehat, bardzośmy sympatyzowali, często jadałem z niemi obiady, a i stary Babtysta polubił mię i nieraz ukradkiem szepnął, żeby jaką rozrywkę dla panienki zainicyować. Jeździliśmy do Fiume, na wyspę Cherso i tak bez celu na morze, a pogoda była ciągle przepiękna.

Jednego ranka wyruszyliśmy we dwóch ze starym, łodzią do Lovrany; mimo tego, że było jeszcze bardzo wcześnie, słońce piekło dokuczliwie. Wiosłowaliśmy z de Brehat, a łodziarz sterował; przybiliśmy do tarasu przy willi Lovrana, łódź odesłaliśmy a sami weszli na górę, do ogrodu.

Dopiero wtedy uczuliśmy straszny skwar; wietrzyk na morzu i płócienny daszek na łodzi, łagodziły gorąco, teraz paliło nas żarem.

Udaliśmy się napowrót pieszo. Od Iki idzie się śliczną drogą nad morzem, ale cieniu nie ma. Szliśmy bardzo wolno, rozmawiając o Węgrach i gorączce budowlanej w Peszcie; przeszliśmy już daleko za port, gdy spojrzawszy w kierunku Fiume zobaczyłem ciemną chmurę, pędzącą z szaloną prędkością ku nam. Zacząłem się obawiać o starego; nie wiedziałem co czynić: wracać do Iki, czy iść dalej? Idąc szparko, za jakie pół godziny dojdziemy do domu, nic więc nie mówiąc przyspieszyłem kroku.

— Nie tak prędko — wołał za mną de Brehat, — pan jesteś młody, a mnie, staremu, ciężko podążać za panem.

— Boję się, żeby nas dobrze nie zmoczyło — odrzekłem.

— Eh, chmury jeszcze bardzo daleko, dojdziemy, zdążymy do domu.

Bardzo odległy grzmot, powtarzany przytłumionem echem jakby potwierdził jego słowa. Zacząłem iść wolniej, de Brehat zrównał się zemną.

Zerwał się silny wiatr i spokojna toń Adryatyku zadrżała kilkakrotnie, potem zaczęła falować... białe baranki, te zwiastuny burzy, tu i owdzie pokazywały się na falach.

Obaj zaczęliśmy iść dobrym krokiem, ale uragan pędził naprzeciwko. Dziwny obraz przed stawiał widnokrąg: połowa lazurowa z pałającem w całej pełni słońcem, a druga połowa zakryta ciemnemi chmurami. Czarny, złowrogi całun coraz szerzej pokrywał niebo, ogniste zygzaki i węże nieustannie przebiegały po czarnym stropie, a grzmoty coraz częstsze i głośniejsze rozlegały się w powietrzu, wiatr zaczął wyć przeraźliwie i Adryatyk zawrzał piekielnym ukropem, uderzając we wściekłym gniewie o sterczące skały. Obejrzałem się, w znacznej odległości za nami biegł jakiś człowiek, widocznie uciekał przed burzą.

Szliśmy nie mówiąc ani słowa; burza była już niedaleko, w jednej chwili słońce zniknęło za czarnym kirem, zrobiło się ciemno, piorun za piorunem uderzał w roztocz spienionego morza. De Brehat zaczął biedz, ale zamiast pod górę, drogą, biegł na dół na brzeg morza. Podążyłem za nim, stał na końcu skały, która w kształcie długiego języka wrzynała się w zatokę. Bałwany w szalonym impecie uderzały o skałę i rozbijając się oblewały nasze nogi, chociaż staliśmy wysoko, bałem się jednak o starego, ująłem go za rękę mówiąc:

— Wracajmy do domu.

De Brehat zwrócił ku mnie oczy, jakoś dziwnie pałające, wyrwał gniewnie rękę, a wyciągając obie ku morzu, wołał przeraźliwie:

— Magdaleno! Magdaleno! gdzie jesteś? co boisz się? ty się boisz? cha! cha! cha! — śmiał się jakimś piekielnym głosem...

Pioruny waliły bez przerwy, świst wichru, szum i plusk rozlewających się bałwanów, wtórowały de Brehatowi. Wiatr zerwał mu kapelusz i rozniósł włosy, a on zaciskając pięście starał się przekrzyczeć grzmoty, wicher i jęk morza:

— Gdzie notaryusz? Magdaleno! Przysięga! Bądź przeklęta!

Chciał iść jeszcze naprzód, ale pośliznął się i upadł. Na szczęście upadł w tył, padając naprzód, byłby spadł w morze. Ukląkłem i opierając się o występ skały schwyciłem go za ramię; jednocześnie jakiś człowiek nachylił się nad nim z drugiej strony. Był to ów człowiek, którego widziałem zdążającego za nami, a któremu, jak się później dowiedziałem, Janina poleciła śledzić ojca,

De Brehat nie dawał znaku życia, dotknąłem pulsu, bił nadzwyczaj słabo. Siła burzy się zmniejszyła, ale deszcz ulewny zaczął padać.

Z wielką trudnością przeciągnęliśmy de Brehat ze skał na drogę, był omdlały; zacząłem go oglądać. Krew cienkim strumieniem sączyła się z nad prawego ucha, padając na skałę rozciął sobie głowę. O przeniesieniu go nie mogło być mowy, wązka, ślizka droga, ulewa, a potem niepomierny ciężar, wykluczały możność niesienia go we dwóch. Przykładając chustkę tamowałem płynącą krew i oryentowałem się w położeniu:

przypomniałem, że znajdujemy się w pobliżu pralni mechanicznej. Posłałem Andrzeja i ten w jakie dziesięć minut wrócił z ludźmi i prześcieradłami, na których przenieśliśmy omdlałego do pralni. Po opatrzeniu rany, która okazała się nie głęboką, cuciliśmy de Brehat i wkrótce przyszedł do przytomności; nic nie wiedział co się z nim stało, był mocno osłabiony. Przeszło półtory godziny zanim Andrzej wrócił z karetą; przez ten czas wysuszyliśmy ubranie de Brehat i moje, byliśmy przemoknięci do ostatniej nitki. Burza zupełnie przeszła, nawet słońce się znów pokazało.

Ponieważ de Brehat nie był świadomy wypadku powiedziałem mu, że się poślizgnął i upadł, zranił i zemdlał. Odwiozłem go do domu, gdzie wystraszona córka i Babtysta spotkali nas przed willą. Za chwilę przybył doktór, opatrzył ranę, a po zażyciu kropli danych przez Janinę, de Brehat zupełnie uspokoił się i usnął.

Janina rozumie się dopytywała o całą przygodę, którą jej detalicznie opowiedziałem.

— Nieszczęśliwy, biedny ojciec — mówiła, ocierając łzy z oczu, — widocznie nigdy już nie dojdzie do zupełnego zdrowia i normalnego stanu.., a tak cieszyliśmy się... dwadzieścia trzy lata cierpieć.

Wróciłem do domu mocno przygnębiony; postanowiłem nigdy już nie chodzić na odleglejsze spacery z panem de Brehat. Doszedłem do wniosku, że jakiś dramat rodzinny był powodem obłąkania nieszczęśliwego.

Wieczorem zaszedłem dowiedzieć się o zdrowie de Brehat, był zupełnie dobrze, leżał jednak w łóżku. Dziękował mi za opiekę, nawet uśmiechając się prosił, aby dzisiejsze zdarzenie nie zraziło mnie na przyszłość do spacerów.

Zbyłem go wyrazami konwenansu, ale nie miałem zamiaru zmienić mego postanowienia.

Przez kilka dni de Brehat nie wychodził z domu, dopóki skaleczenie głowy zupełnie się nie zagoiło; przez ten czas odwiedzałem go codziennie i podczas jego poobiedniego odpoczynku chodziłem z Janiną do parku. Była to kobieta, jak u nas nazywają entuzyaści „święta." Dziś jeszcze piękna i nadzwyczaj sympatyczna, myślała tylko o ojcu, jego wygodzie, zdrowiu i względnych rozrywkach, jemu poświęciła całe swoje życie, swoje myśli, swoje ja; była mu opiekunką, siostrą miłosierdzia, nawet sługą.

Zbliżaliśmy się coraz więcej i pozyskałem całkowite jej zaufanie, dowiedziałem się, że straciła matkę będąc niemowlęciem, że miała zaledwie 6 lat, kiedy ojciec dostał obłąkania, i że mając 18 lat przyjechała, ukończywszy edukacyę w klasztorze, do ojca, a od tego czasu nie opuszcza go Przed dwoma laty, kiedy ojciec wrócił do przytomności, zaraz wyjechali z Francyi, gdyż stary za nic nie chciał tam mieszkać; prowadzą więc życie koczujące, podróżując po Szwajcaryi, Austryi i Włoszech. Nie traciła jednak nadziei, że wreszcie ojciec zatęskni i wrócą do swej siedziby i pięknego pałacu w Brehat nad kanałem La Manche. Opowiedziała mi również, że ojciec kochał jakąś dziwnie piękną markizę, która podczas burzy utonęła i to było powodem obłąkania.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z CHWILI.

Od czasu do czasu jednostajną powierzchnię naszego miejskiego życia zabarwi jakieś sensacyjniejsze wydarzenie, jakiś skandalik wyciągnięty przed trybunały, albo dramat krwawy nareszcie, bo i tym ostatnim obdarza nas niekiedy losłaskawca, zapewne przez współczucie dla utyskujących nad monotonią codziennego bytu.

W takich chwilach w części zaspana, a w części nieprzytomna opinia-winowajczyni budzi się ze swojej drzemki, albo swojego osłupienia i udaje, że ją skandal albo epizod krwawy dziwuje, gorszy i martwi niesłychanie — miejscowe plotkarstwo przeżuwa z rozkoszą swoją strawę, dopóki istoty samej faktu nie wynicuje na wywrót, a dziennikarstwo poczuwa się do obowiązku wypowiedzenia pewnej ilości mniej lub więcej szczerych frazesów, których sens konkludujący tak pasuje do treści codziennie zastawianej przed jego czytelnikiem strawy duchowej, jak kwiatek do kożucha na przykład.

Po kilku dniach nasycenia ciekawości, znowu cisza jak poprzednio, znowu jednostajna bezbarwność dawna, i tak snuje się w dalszym ciągu owa szara, wytarta, zużyta, a często zbrudzona nić przeciętnego żywota ludzkiego na bruku miejskim.

Taką przedstawia się ona każdemu, kto rojowiskom dzisiejszym przypatruje się z ubocza. Aby zapatrywanie takie obronić przeciw zarzutowi przesady, najlepiej będzie poprzeć założenie przykładem, a niby gwoli ułatwienia czytelnikowi — przykładem z ostatnich chociażby tygodni.

Młody człowiek gra. Gra dlatego, że atmosfera, którą od dzieciństwa oddychał, przesycona jest w naszych czasach żądzą użycia i hazardem, który ma niby podwoje do tego przybytku szczęścia otwierać—że wychowanie i obcowanie z ludźmi nie wszczepia przeciwko grze żadnych wstrętów, a uprzedzeń przeciwko grającym. A więc nic naturalniejszego nad to, że wolny od wszelkich mrzonek młodzieniec, dorwawszy się jakiegoś odziedziczonego pieniądza, który nie starcza jednak na prowadzenie życia zbytkownego, pragnie powiększyć go do pożądanej wysokości. Za najskuteczniejszy środek do tego celu uważa on grę hazardowną, boć wreszcie codzienne doświadczenie poucza go, że się to praktykuje, że są ludzie żyjący z gry, umiejący wygrywać, że ludzie tacy błyszczą, świecą i potrącają. Wszystko to jest proste, jasne i naturalne, ale i to także wątpliwości nie podlega, że nie każdy w tym kunszcie może być wirtuozem, nie każdy ma potrzebną dozę krwi zimnej, rozwagi, i innych przymiotów niezbędnych, i że muszą ostatecznie w takiej walce znaleźć się koniecznie zwycięzcy i zwyciężeni. Dla pierwszych stoi otworem droga przez nikogo nie kwestyonowanej wziętości — dla drugich... różnie bywa. Jedni (a przyznać należy, że tych jest najmniej) chwytają się po wysadzeniu z siodła, jakiejś pracy — inni wieszają się przy dawnych towarzyszach, dopóki nie zostaną odpędzeni — ostatnia wreszcie kategorya, która pracą gardzi, a do lokajowania ma kark zbyt sztywny, wybiera sobie alternatywę trzecią i kończy samobójstwem.

Takie życie usłaliśmy sobie sami, nad tem pracowali jedni, przeciwko temu nie protestowali drudzy, wytworzył się taki stan rzeczy uznany jako normalny, więc dziwić to musi koniecznie, gdy przy każdym pojedyńczym fakcie spadnięcia jakiejś jednostki z wozu pod koła, opinia rozdziera swoje szaty, a prasa przechodzi ze zwykłego allegro w ton minorowy i nastrój sentencyonalny.

Dlaczego? Z jakiej daty?

Przedewszystkiem powinniśmy rozumieć, że klęski społecznej nie stanowi sam przez się fakt śmierci jakiejś jednostki wykolejonej, ale liczebna mnogość podobnych jednostek, które pozostały wśród nas i w dalszym ciągu, zamulają sobą potok naszego życia i zanieczyszczają atmosferę moralną.

Dalej nie wolno pierwszej przyczyny wszelkich zamachów na życie własne, a mianowicie żądzy szybkiego zbogacenia się — chęci użycia i nieodłącznej od nich manii hazardu, uważać jako nieszczęścia, które nam ktoś zadał, podobnie jak lud pojmuje zadanie uroku. Przeciwnie jest zupełnie. Wszakże ten pasożyt rozrósł się na organizmie nietylko za naszą wiedzą, ale wprost z naszej woli — wszak sami przygotowaliśmy pod niego grunt programami własnymi.

Zapytajmy sumienia, czy to z obłoków zrzucił nam kto tego kalekę społecznego bez wiary, dogmatu, woli, energii — bez zasady i jakiejkolwiek myśli przewodniej — czy też tę słabiznę, tę biedotę cherlawą fizycznie i duchowo wychodowaliśmy sobie sami.

Niewątpliwie sumienie odpowie nam, że człowieczyna dzisiejszy—że *homunculus* dni naszych, to własne dzieło nasze.

Od kolebki poczynając przycinaliśmy jego skrzydła do lotu, tamowaliśmy idealniejsze popędy, wyszydzali heroizmy, zaprosiliśmy do pomocy w tej robocie literaturę, sztukę i zdawało nam się, że wyprodukowana tym sposobem jakaś przeciętność ludzka, raz na zawsze uwolni nas od wszelkich kłopotów.

Zemściło się na nas dzieło własne.

Do pewnika rzuconego światu przez Milla, który wyrzekł: „że z małymi ludźmi nigdy wielkich rzeczy dokonać nie można," dodaje doświadczenie życiowe swój komentarz: Mali ludzie robią nietylko małe rzeczy, ale przez wstręt do wszystkiego co wielkie i podniosłe spełniają cały szereg czynności ujemnych.

Przeciętny, trzeźwy, realny a szpetny moralnie homunculus naszej epoki, będzie grać choćbyśmy mu wszystkie domy gry i wszystkie tak zwane: coupe-georges pozamykali; będzie się poniżał, nabawiał nas tysiącznych kłopotów i wstydu, jednem słowem będzie się babrał w błocie, jakkolwiek nie będzie się wedle ostrzeżeń wieszcza „bawił w bohatera, świecił cnotą nadludzką i spoglądał w gwiazdy."

Jaki też wyrok podpisze na niego ta, która współcześnie z jego poniżającem zwyrodnieniem, z takim zapałem i wiarą zabrała się do własnego udoskonalenia?

X.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Dla mnie nie ma dziwów! — przerwał niecierpliwie Antoniewicz. — Ohana imponuje, bo mądry, lubię go, gdyż mi nic nie winien, zresztą lepszy do rozmowy od innych. Ale ja nie mam czasu na oględziny — dodał, — mnie się jeść chce.

— Więc siadajmy — rzekł Russo, — widzę, że i oni skręcili w stronę swych magazynów.

Wsiedli na kołyszące się u brzegu czółenko, do którego ich zapraszał żałosnym głosem jakiś oberwany Żyd, przewoźnik.

Tymczasem Szymonowicz z Ohaną szli wolno, torując drogę wśród gromad chłopskich, gapiących się nad rzeką, Heluni i Zosi, którą trzymała za rękę guwernantka, wytrzeszczająca oczy na brzęczący jak w ulu tłum ludzki.

Nareszcie stanęli u celu wędrówki. Odetchnęli, zatrzymawszy się na dość dziwnym placu gładkim, na którym układano worki z pszenicą w wysokie jak kamienica sterty. Pośrodku placu rozsiadł się ogromny czworobek drewniany, trzechpiętrowy, do którego z dwóch stron przypierały małe domki mieszkalne. Były to magazyny i składy nowo założonej spółki zbożowej.

— Pani musiała się zmęczyć?

— Tak, trochę.

— A więc dobrze, poradziłem, żebyśmy się tutaj na czas pewien schronili.

— Znakomicie, wdzięczna panu jestem za to— odparła z uśmiechem.

— Cóż pan kupuje? — pytał Szymonowicz.

— Ja zaopatrzyłem się w kilku pięknych koni rasowych.

— A gdzieś je pan zostawił? — tu trzeba się strzedz; koniokradów dzisiaj co niemiara.

— Pilnowanie pozostawiłem Tigranesowi. Jestem pewny, że jemu nikt nie ukradnie, chybaby miał z dziesięć rąk i ze sto oczu.

— Bo też pan dobrał sobie doskonałego rządcę — wtrąciła Helena, — ten człowiek to uosobienie sprytu i przebiegłości.

— Nic dziwnego, Ormianin czystej krwi, z pod stępla.

— Przecie i myśmy haje! — zaśmiała się wesoło młoda kobieta, patrząc zalotnie mówiącemu w oczy.

— Haje, to prawda, ale przeszłe innym duchem, innem powietrzem, inną atmosferą.

— Więc cóż z tego?

— Co? Choćby to, że spryt nasz i rozum ormiański kuleje na jedną nogę, jest ślepy na jedno oko, głuchy na jedno ucho.

— Już też pan zawsze swoim łatkę przypnie— zawołała z udaną urazą w głosie.

— I ma racyę! — powiedział Szymonowicz.— My to niby Ormianie, ale tej szlacheckości polskiej zanadtośmy się nałykali, strawić jej teraz nam jest trudno.

— A to pan dobrze powiedział — wykrzyknął Ohana, rzucając wzrok na siedzącą Helenę.

Rozmowa raz poraz urywana ciągnęła się czas jakiś swobodnie. To Ohana coś powiedział, to Szymonowicz, to Helena wtrąciła zdanie jedno, drugie. Patrzono na snujące się tłumy ludzi, łódki i czółna kołyszące się na Dniestrze; robiono sobie uwagi, śmiejąc się. Ohana był ożywiony, Helena również.

— Mamusiu — zaczęła skarżyć się Zosia, — mnie tak gorąco, mnie tak się pić chce.

— A cóż ja ci na to poradzę, moje dziecko— odpowiedziała matka, — chciałaś sama przyjechać do Otak, wzięłam cię z sobą. Zaczekaj, niedługo pojedziemy.

— Ale kiedy, mamusiu, ja lubię Otacki jarmark, chciałabym jednak, żeby było chłodniej, choć cokolwieczek chłodniej.

Ohana słysząc to uskarżanie się małej, a widząc prócz tego zmęczenie Heleny, rzekł:

— A możebyśmy się schronili do kantoru.

— E, wątpię — zawołał Szymonowicz,—wszędzie gorąco, a w tej klatce będzie jeszcze goręcej, zresztą jak chcecie, to sobie idźcie, ja jeszcze muszę jechać do Mohilowa, mam tam do załatwienia interes. Czekajcie tu na mnie!

— A może chcecie jechać — dodał zwracając się do żony i córki, — to was zabiorę; posiedzicie sobie w cukierni. Pewno ten Zapłocki przygotował na dzisiaj jakie lody, sorbety. No, decydujcie się?

— Ja tam nie pojadę na taki upał — zawołała Helena, — dosyć mam tej spiekoty. Za lody Zapłockiego ci dziękuję, wolę zjeść trochę winogron, których każę przynieść.

— To sobie siedź — rzekł powstając mąż, a zwracając się do Owanesa zapytał:

— Pan zostaje?

— Zostanę chwilę, już tam na jarmarku nie mam co robić; z główniejszem się sam załatwiłem, a z resztą Tigranes poradzi sobie bezemnie.

Szymonowicz nic na to nie odpowiedział, rzucił tylko nieznacznie podejrzliwy wzrok na mówiącego i żonę, a całując Zosię w czoło mówił jej:

— Zaczekajże na mnie, Zosieńku, przywiozę ci z Mohilowa ciastek i jeszcze coś. A teraz poproś mamusi, to ci kupi winogron; wody pić nie można, bo nie dobrze pić wodę na taki upał.

— Dobrze, tatusiu — odrzekła dziewczynka, tuląc się do ojca, — będę tu na tatusia czekała, tylko proszę nie zapominać o ciastkach i o tem „czemś.“

Szymonowicz usiadłszy na stojące właśnie u brzegu czółno, przeprawiał się na drugi brzeg Dniestru, a oni tymczasem wchodzili do parterowego domu, w którym się mieścił kantor spółki.

— Niechże pani siada— zaczął Owanes, wskazując Helenie otomanę. — Jestem tu przecież wice-gospodarzem, mam więc prawo zapraszać, nie prawda?

Helena spoczęła, podano winogrona, a gdy wszyscy pragnienie zaspokoili, prosiła Zosia matki, aby jej z guwernantką wyjść pozwoliła.

Po niejakiem wahaniu zgodziła się na to matka.

Zostali teraz zupełnie sami i czuli pewną wdzięczność dla losu za to, że ten usunął im wszystkich świadków z drogi.

Tyle bo mieli sobie do powiedzenia, a czasu było tak mało, iż nie wiedzieli od czego zacząć. Siedzieli naprzeciwko siebie, ona na otomanie, a on na krześle; patrzeli sobie przez chwilę prosto w oczy, czytali w nich treść tego, co im tkwiło w duszy. Przenikali się wzajem, jak dwa płomienie obok siebie płonących stosów.

Wreszcie on zaczął:

— Więc jesteśmy nareszcie sami.

— Tak — odparła półgłosem i chwyciła go mocno za rękę.

— Wiesz, muszę ci jedno powiedzieć, jedno, a nie wiem, jak zacząć, wstydzę się poprostu.

Pociągnął ją ku sobie. Opierała się lekko i słuchała jego szeptu.

— Helciu, wstydzisz się mnie? Czy możesz mieć tajemnicę jaką dla mnie, przecież wiesz, że dusze nasze są złączone tym węzłem wspólności uczuć i myśli, którego żadna siła ludzka rozerwać nie może.

— Tak mówisz?

— Tak mówię, jak czuję.

— A on mi powiedział, wiesz, Oleś, mąż mój, on mię upewniał, że tyś skwitował z marzeń i zerwał ze wspomnieniami.

— Co? zkądże to jemu przyszło do głowy?

Zdumienie malowało się na obliczu jego, gdy to mówił.

— Co jego to może obchodzić? Czyżby podejrzywał wiążące nas uczucie—czyżbyś mu ty sama się tłómaczyła i na myśl go ową naprowadzała?

Spojrzała na niego, wysuwając mu się z ramion, i rzekła półgłosem:

— Przecież on mnie kocha, jest moim mężem...

— Cóż on ci takiego powiedział? — zapytał znowu po chwili.

— Co? Powiedział, powtórzył mi już kilka razy, że się ty żenisz.

— Ja? — Zawołał Ohana i rumieniec zdziwienia pomieszanego ze złością pokrył jego ciemną, ogorzałą twarz. — A z kimże to takim myśli mnie swatać ten twój mąż? — pytał z drwinami w głosie.

— To nie on, to ojciec mój.

— I ten mi spokoju nie daje — mruknął.

— Oleś mi mówił, że ty się starać zamierzasz o tę Antoniewiczównę piękną, która w okolicy wszystkim chłopcom głowy pozawracała. A cóż? Panna śliczna, posażna — mówiła, uśmiechając się ironicznie, — z rodziny zacnej, porządnej.

Przerwał jej, mówiąc:

— Gdyby ona była cudowna, jak anioł; bogata, jak królewna; mądra, jak Minerwa, i tobym jej nie chciał, bo nie mogę jej chcieć!

— Naprawdę?—i radość jej świeciła w oczach, jak odblask w dyamencie.

— Nie wierzysz mi? — pytał. — Wiesz, że podczas moich wędrówek po świecie nie takie partye mi się trafiały; cały rząd ślicznych jak marzenie Greczynek, Ormianek czekał na mnie, na moje skinienie, by mi oddać urodę, bogactwa niezmierne, o jakich tylko pojęcie na Wschodzie stworzyć sobie można.

Chciał dalej mówić, ale mu nie dała.

— Wiem, wiem o tem wszystkiem!

— Dlaczego więc męczysz mię?

— Bo mi to sprawia rozkosz. Z tej dobrej, łagodnej Helci zrobiła się tyranka wschodnia.

— Ubóstwiana, moja tyranko!

— Wiesz, ja jestem pewną ciebie, ja jestem pewną, że ty mię kochasz, a jednak opędzić się

nie umiem przed tą zazdrością, co mnie ściga i kąsa.

— A jakiż powód? Czy mam kogo na myśli, kobietę jaką? Ta Antoniewiczówna? daj pokój. Jeżeli już chcesz, to mogę zaprzestać bywać u nich, byle tylko nie drażnić cię.

Słuchała wpatrzona w pałające płomieniem oczy jego czarne.

— Ja we wszystkiem zazdrosną jestem o ciebie, mnie się zdaje, że drzewa, kwiaty, powietrze nawet zabiera mi część twojej miłości. Słyszałam ostatnimi czasy, żeś przepysznie wyrestaurował pałac po tym Sabescu.

— Tak z rudery zrobiłem cacko.

— Podobno urządziłeś go także wewnątrz wspaniale?

— Zdaje mi się! Cóż mi po tem, kiedy ty tego nie widzisz. Dla mnie to wszystko jedno.

— Ale ja chcę zobaczyć! Chcę... bo mi mówiono, że trzymasz w tym pałacu jakąś śliczną odaliskę przywiezioną z Turcyi.

Rumieniec pokrył jej twarz całkowicie, serce jej biło, gdy on rzucił to pytanie:

— Co?... odaliskę?

I roześmiał się szczerze, bo mu ta anegdota o owej ślicznej odalisce ze Wschodu dziwnie zabawną się zdała.

— Może on ci i tę wiadomość przywiózł?

— Nie, to Stefek.

— A, już jak ten wymyśli, to ni w pięć ni w dziewięć. Co jego mój pałac obchodzi, czego on jeszcze teraz chce ode mnie, ten człowiek?

— On ci zazdrości, żeś mądry i bogaty.

— Do bogactwa i mądrości każdemu droga otwarta.

— Ale powiedz, zobaczę ja kiedy te twoje Nikoreszty? Urządzisz tak, że ja będę mogła widzieć? — pytała.

On milczał czas jakiś, aż mu powtórzyła pytanie swoje:

— No, jakże?

— Przyjedziesz. Dla zachowania jednak wszelkich pozorów urządzę bal dla sąsiadów, dobrze?

— Wybornie, jak ty to zaraz wymyślisz coś takiego, co mnieby nigdy do głowy nie przyszło.

— A teraz — dodała powstając, — muszę zobaczyć, co tam Zosia robi na placu, boję się o nią.

— Przecież ma przy sobie Francuzkę — mówił, całując ją we włosy, w oczy, usta.— Zostań jeszcze, widzisz tak mamy mało czasu, dla siebie.

— Nie, nie, tutaj może nas kto zejść, on może wrócić, domyślić się czegoś.

— Więc on cię ciągle podejrzewa?

— Tak. Muszę tego unikać, bo czuję, że nić raz zerwana nie związałaby się nigdy.

Już wstali i zabierali się do wyjścia, gdy w przedpokoju dały się słyszeć czyjeś kroki. Drzwi się otwarły, do gabinetu wszedł Stefek Bohdanowicz. Obojgu serca zadrżały; ten gość był w tej chwili najmniej potrzebny i jakieś złowrogie przeczucie wkradło im się do duszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MALARSTWO.

W chwili obecnej dwa warszawskie *Salony* mieszczą na ścianach swych gruppy obrazów związanych wspólnością głównego motywu.

W Salonie Krywulta spotykamy wystawę objętą tytułem ogólnym „Koń w sztuce," w Salonie Artystycznym—wystawę konkursową krajobrazów. Takie zestawienie obok siebie dzieł sztuki, dążących do odtworzenia tego samego, mniej więcej, działu świata widzialnego, jest rzeczą bardzo zajmującą, pozwala obserwować, jak na tym samym, a przynajmniej w zarysach ogólnych podobnym temacie, indywidualność każdego artysty odrębne wyciska piętno.

Na samym wstępie do Salonu Krywulta niemiłe otrzymujemy wrażenie od całej gruppy bohaterów pola Mokotowskiego, długich, wychudzonych wyścigowców, których uwiecznienie podjął pan Wielogłowski. Od Ashabadów i Litaworów, dekadentów końskiego świata wzrok nasz biegnie żywo ku sylwetkom szlachetnych zwierząt na obrazach Kossaka, Brandta i innych, ku tym towarzyszom najburzliwszych epizodów życia ludzkiego, napółświadomym uczestnikom wysiłków, wzruszeń, namiętności człowieka, namiętności wyższej a w każdym razie innej natury, niżeli te, które na torze wyścigowym wstają do życia i walki.

„Napad wilków" Chełmońskiego pochłania uwagę naszą. *Apokaliptyczne bestye*, przerażeniem gnane, rwą naprzód, grożąc poszarpaniem uprzęży i pozostawieniem podróżnych na pastwę zgłodniałego wroga, którego zastępy straszne o błyszczących ślepiach i krwawych pyskach wysuwają się z gęstwiny. Jest tu wiele tej żywiołowej potęgi, którą odznacza się wogóle twórczość Chełmońskiego.

O ileż spokojniej przedstawia się ten sam temat pod pędzlem Wierusza Kowalskiego. Konie są spłoszone, lecz nie oszalałe z trwogi, wilki podobne do groźnych upiorów i tylko płomień w oku człowieka, mierzącego z krócicy do najśmielszego napastnika, i podobny a bardziej fosforyczny płomień w oku zwierza świadczą o napięciu sytuacyi.

Przechodząc do obrazów Kossaka, przenosimy się od razu myślą w świat tak odmienny od naszego, świat ruchu, walki, utarczek stepowych, świat w którym człowiek nie istnieje bez rumaka. Koniowi też przedewszystkiem poświęca uwagę malarz w obrazkach takich jak: „Podstęp Tatarzyna," „Wzięcie do niewoli" i innych epizodach tego życia, będącego dla artysty skarbnicą niewyczerpaną. Gdy stoimy przed tymi obrazkami, ogarnia nas wydzielająca się z nich atmosfera, i zdaje nam się, że dokoła nas szumi step, nad głowami, kraczą orły i kruki, że płuca wciągają w siebie upajające tchnienie pól bez końca, a w piersi bije serce równie żywo i śmiało, jak tym w obrazie. Odrywamy oczy, i złudzenie pierzcha. To sztuka swoim czarem opętała nas na chwilę.

Przejdźmy dalej, ale i dalej powietrzem rzeźwem pól oddychać nam trzeba. Ot płaszczyzną bezbrzeżną, melancholijną, pod sklepieniem nieba, które wschód czy zachód purpurą i fioletem ubarwił, ciągnie „Czerkies" Siekierza i zdaje się słowami Gustawa Zielińskiego mówić:

„Mogąż się ludzie, mający serce,
Więzić wśród strasznej murów ciasnoty,
Mając pod stopą takie kobierce,
Mając nad głową takie namioty?!"

A obok „Rycerz" Pillatiego jasnowłosy, smętny, niby z przeczuciem przedwczesnej śmierci w duszy, mógłby stanowić illustracyę do poematu o jakimś zgasłym przedwcześnie wodzu kresowym, o jakimś poległym młodo pod Żółtemi Wodami, Stefanie Potockim. Koń jego idzie zwolna, głowę schylił, smutny jest zarówno jak jeździec.

Pełen prawdy i życia jest obraz Ryszkiewicza „W pochodzie." Wicher niesie chłodne krople deszczu, które szronem osiadają na grzbiecie zmęczonej szkapy, wprzężonej do wozu markietanki Żołnierze otaczają pocieszycielkę swoją, przyjmując z rąk jej rozgrzewający trunek. Koń charakterystycznym ruchem zwiesił łeb, unika lodowych podmuchów, gryzących mu oczy.

Ze znakomitą techniką namalowaną jest ta szkapa. Za to czerwony parasol markietanki od umiarkowanych wogóle tonów całego obrazu, odbija nieprzyjemnie jaskrawą bardzo plamą.

Piękniejszym od tego wielkiego płótna jest maleńkich rozmiarów „Rozbiegany Tabun," tego samego artysty. Patrząc na tych rozhukanych, swobodnych latawców, o smukłych, estetycznych kształtach, tem większego nabiera się wstrętu do zgenerowanych Ashabadów i Litaworów.

Brandta „Z polowania" posiada wszystkie zalety cechujące tego niepospolitego artystę.

A teraz czas pozdrowić pędzel zmarłego mistrza. Matejki „Chmielnicki," jak wszystkie obrazy twórcy „Grunwaldu," uderza i zniewala potęgą nastrojów psychicznych, przejawiającą się zarówno w wyrazie twarzy, jak postaci całych. Stoi tutaj olbrzymi wódz krwawy, stoi pod murami miasta, nad którem w obłokach święta postać jakaś się unosi, wyznawca miłości, widmo. Wspina się rumak Chmielnickiego rażony nadprzyrodzonem zjawiskiem. Na dzikie i okrutne twarze Zaporożców wybija się zdumienie i trwoga. I wypływać na nie zaczyna coś lepszego, coś co na dnie, w głębinach istoty ich spoczywało ukryte.

A nad miastem, poniżej postaci świętej lecą orły i sępy, towarzysze obozów, zwycięzcy pobojowisk. Obraz ten, jak każdy prawie Matejki, jest dramatem psychicznym, wyrażonym z niezmierną potęgą.

Maksa Gierymskiego: „Na pozycyę," „Z depeszą," „Utarczka," utrzymane w tonach chłodnych, ciemnych, świadczą o poważnym, melancholijnym poglądzie artysty, który tematów podobnych nie umie traktować jak inni z brawurą, wesoło niemal. Nad krwawymi czynami ludzi zawiesza Gierymski niebo szare, przechodzące w tony fioletowe, niebo chmurne, ciężkie, smutne. Szczególnie posępny jest obrazek zatytułowany „Z depeszą." I jeździec i koń zdają się przeczuwać, że tą równiną pustą, zagadkową, szarawą... śmierć idzie ku nim.

Illustracya Andriollego do ostatniego ustępu „Maryi," mogłaby uchodzić za usymbolizowanie całej poezyi romantycznej. Na rumaku nadnaturalnych kształtów, o rozwichrzonej grzywie pędzi Wacław, trzymający w objęciach symbolicznie pacholę. Burzy i melancholii dwu pierwiastków składowych romantyzmu są uosobieniem te dwie postacie.

Przechodząc w ten sposób od obrazu do obrazu, zatrzymując się przed tymi, które szczególnie przykuwają uwagę, dochodzimy do fragmentu Wojciecha Kossaka z panoramy „Berezyna.” Jest to niby ostatnia kartka epopei, opiewającej wspólne przygody konia i człowieka. Nad zwłokami zwierzęcia, które może bohatera jakiegoś niosło w bój, stado kruków rozpoczyna biesiadę. Smutny koniec.

W Salonie Artystycznym zastanawia brak nazwisk głośniejszych. Konkursy malarskie, podobnie widać jak literackie, obchodzić się muszą bez udziału znanych i uznanych. Niemniej bardzo przyjemnie spędzić tu można chwil parę wśród krajobrazów przeważnie swojskich, które znaną i miłą nutą przemawiają do duszy. Jeden tylko „Gejrangerfiord” Nałęcza odtwarza fragment przyrody obcej. Zresztą wszystko to nasze sosny, mgły i wody. Bardzo ładnie malowany jest krajobraz Klopfera „Po deszczu.” Świeża zieloność traw i porostów otaczających jezioro w zupełności usprawiedliwia tytuł. Na listkach zdają się jeszcze błyszczeć krople rosy, w powietrzu rozchodzi się świeżość. Czujemy że tu jest „Po deszczu.”

Zwraca także uwagę Biskego „Krajobraz nocny.” We mgłach spoczywające drzewa, wyglądają niby widma. Popowskiego „Świt” w którego ciszy, po spokojnych wodach sunie łódź, ma bardzo wiele wdzięku.

W obrazie Wiśniewskiego „Jezioro pod lasem” szczególnie dobrze oddaną jest perspektywa leśna. Prócz tego spotykamy tu jeszcze wiele prac, świadczących o talencie twórców. Pozwalam sobie wymienić niektóre: Rapackiego „Droga do miasteczka,” Stanisława Wrońskiego „Jodły,” Stefana Dąbrowskiego „Z nad Wilejki,” Anny Offmańskiej „Burza” i t. d., i t. d.

H. C.

PRACA KOBIET.

KRAWACIARSTWO.

W ostatnich czasach kobiety zwróciły się licznie do tej gałęzi pracy, gdyż ma ona obok złych swe dobre strony. Kiedy strojów, kwiatów, krawieczczyzny etc., trzeba się uczyć długo, rzemiosło o którem mowa, wymaga stosunkowo małego przygotowania. Każda kobieta, umiejąca wprawnie szyć i fałdować z gustem, może się wziąć do krawatów.

Osoby, oddające się tej gałęzi pracy można podzielić na dwie kategorye: płatne robotnice w wielkich fabrykach, i pracujące u siebie w domu.

Te ostatnie robią często w domu dla fabrykanta, lub też na własne ryzyko, szukając zbytu pomiędzy znajomymi.

Chcąc zarabiać w ten sposób, nie potrzeba się długo uczyć; miesiąc, dwa, a najwyżej trzy wystarczają w zupełności. Można odbyć kurs krawaciarstwa w szkole rzemiosł, nb. jeżeli lekcyi udziela osoba wykwalifikowana, lub też—(a droga to gorsza) — nauczyć się samej kilku fasonów tylko, i ciągle je robić.

Przypatrzmy się teraz warunkom, panującym w tej gałęzi produkcyi.

Robotnica w fabrykach, które u nas znajdują się prawie wyłącznie w rękach żydowskich, robi zwykle jeden, dwa albo najwyżej kilka fasonów i jest płatną bardzo skromnie. Chcąc się utrzymać nędznie, musi uszyć kilka tuzinów dziennie kokardek lub z tuzin mikado, regat etc. Nie radzimy też naszym czytelniczkom pracować w samej fabryce, bo panują tam nieznośne warunki, i tłum robotnic wszelkiego pokroju, musi przebywać w lokalu często źle przewietrzanym, cianym i ciemnym. Krawaciarka fabryczna nie wiele się różni od zwykłej robotnicy fabrycznej, i tak też jest traktowaną. Na miejscu pracują ubogie dziewczęta, które nie mają pieniędzy na materyał, miejsca u siebie w domu, i nie chcą nic ryzykować. Płaca wynosi kilkadziesiąt kopiejek dziennie.

Kto jednak obawia się wyzysku, nie ma stosunków, któreby mu zapewniły zbyt, ten może brać robotę od fabrykanta do domu, nawet bez zastawu, tylko za wskazaniem adresu;—zresztą jak gdzie. Robota musi być oddaną prędko, i być zrobioną dobrze—inaczej fabrykant odmawia jej w następstwie.

Najlepiej jest wyspecyalizować się tutaj w jednym kierunku, to jest szyć jeden lub dwa fasony, w ten sposób można zarobić znacznie więcej.

Z pomiędzy osób, poświęcających się krawaciarstwu, najwięcej jest panienek średnio inteligentnych, które szukają pobocznych dochodów w tej gałęzi pracy.

Tej kategoryi osoby, pragnąc pomódz rodzicom, odbywają zwykle kurs w szkole rzemiosł, lub u prywatnej nauczycielki, następnie zakładają u siebie w domu fabryczkę, na maleńką skalę. Wywieszają szafeczkę przed domem lub towar w oknie, ciesząc się drobnym zbytem przeważnie w gronie życzliwych znajomych.

Tego rodzaju praca zwykle zawodzi po pewnym przeciągu czasu, mężczyzni bowiem są pod względem krawatów bardzo wymagający; chcą, aby prywatna dostawczyni dawała towar taniej, aniżeli w sklepie, i w dodatku równie dobry. A tu jak na złość, młoda fabrykantka nie mając wprawy dostatecznej, popełnia w wykończaniu krawatów małe niedokładności: źle przyszywa maszynki, sprzączki, etc. Na pozór jest to bagatela, a przecie częstokroć uniemożliwia to noszenie krawatów i odstręcza klientów.

Przy uwadze i dobrej woli można jednak produkować towar, odpowiadający wymaganiom; gorzej za to dzieje się pod względem ceny. Panienka nie miała czasu poznać arkanów swego nowego rzemiosła, nie wie, gdzie można po normalnych cenach dostać maszynek, sprzączek, gumek i innych materyałów, niezbędnych do fabrykacyi. Przepłaca więc wszystko i w rezultacie zjawia się rzecz nienormalna: krawat uszyty przez nią kosztuje drożej, aniżeli taki sam, kupiony w sklepie detalicznym. Krawaciarka dziwi się, jakim sposobem ona nie zarobkuje nic, albo mało na swoim towarze, i nie jest w stanie wytrzymać konkurencyi nietylko z fabrykantem na wielką skalę, ale nawet z drobnym handlarzem.

To ją zniechęca w końcu i zmusza do zarzucenia rzemiosła, na wyuczenie się którego, wydatkowała czas i pieniądze.

Przyczyna tej anomalii jest dla osób wtajemniczonych łatwą do zrozumienia.

Fabrykant może tanio produkować, gdyż:

1) Sprowadza towar z pierwszej ręki, wielkiemi partyami—na kredyt, ma go więc dwa razy taniej, aniżeli ktokolwiek inny.

2) Ucieka się czasem do towaru przemycanego, jeszcze tańszego.

3) Produkuje dużo.

4) Płaci mało za robotę, to jest wyzyskuje swoje pracownice.

5) Zadawalnia się małym stosunkowo zarobkiem.

Zważywszy te wszystkie punkty, nie możemy naszym czytelniczkom zalecać krawaciarstwa, chyba w ostateczności.

Osoba, znaglona potrzebą do tej pracy, z dwojga złego niechaj wybiera mniejsze, to jest niech bierze robotę od fabrykanta do domu. Zarobek to lichy, ale w każdym razie nie połączony z zawodem i ryzykiem. Produkować krawatów w celach handlowych, stanowczo nie radzimy. Uczyć się można w renomowanej szkole rzemiosł, lub u prywatnej nauczycielki. Kurs kosztuje od 3 do 5 rubli, rzadko więcej, a trwa 2 do 6 tygodni stosownie do uzdolnienia.

V...

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

— Pozwoliłeś jegomość ojczymowi wygnać sierotę z jego ojcowizny — mówił ksiądz z gorycą. — Wyznaję, że nie przewidywałem, aby rzeczy zaszły aż tak daleko.

— Gdzie zaszły? Co tu nadzwyczajnego w tem wszystkiem? Chłopak bisurmanił się w domu, oddali go w obce ręce i bodaj, że inaczej zrobić nie mogli. Jak się nauczy pracy, wróci na swoje śmiecie i będzie żył jak jego ojciec i dziad.

— Jeżeli go wpuszczą na te śmiecie.

— Od tego nikt go nie odsądzi, a wreszcie gdyby się ośmielili, toż przecie jesteśmy jeszcze obaj przy życiu.

— Co tam życie ludzkie!

— Ano po śmierci z pewnością niczemu nie zaradzim.

— To róbmy, pókiśmy żywi.

— Więc niech proboszcz robi.

— Ja robię, co do mnie należy, ale i jegomość nie zapominaj, coś przyrzekał.

— Komu przyrzekałem?

Ksiądz wziął za czapkę, ukłonił się zimno i na odchodnem rzucił kilka słów, których znaczenie rozumieli obydwa.

— Cieniom tego człowieka.

Właściciel Poręby miał noc bardzo niespokojną po tej rozmowie.

Jakoś tak składały się teraz rzeczy, że jednocześnie dochodziły do dworu w Porębie wieści o wzrastającym wpływie Józkowego ojczyma na usposobienia gromady, i posłuchy o coraz gorszem prowadzeniu się jego pasierba. Wpływy Góreckiego nabawiały dwór rzeczywistego niepokoju — złe postępowanie chłopca rozgrzeszało do pewnego stopnia z samolubnej bezczynności, bo i co niby zrobić można na korzyść takiego nicponia, który w piętnastym roku życia już się

ludziom dał we znaki należycie. Niepokojony jednak ustawicznemi admonicyami proboszcza — może być że i niezupełnie spokojny w sumieniu własnem, wziął właściciel Poręby, jak to mówią na ambit, i pewnego dnia kazał przyjść do dworu wdowie po Kajetanie, a od roku już żonie Jana Góreckiego, aby jej natrzeć uszu za takie skandaliczne opuszczenie własnego dziecka. Zapowiedział to księdzu w wyrazach dosyć stanowczych, podniecił się sam własną rezolucyą, i w takim nastroju wyczekiwał na obwinioną, dla której łaskawym, a choćby pobłażliwym bynajmniej nie zamierzał się okazać. Kiedy wieczorem przyszedł ksiądz, aby się dowiedzieć jak to tam poszło z tą admonicyą, zastał kollatora swego zwarzonego jak nigdy, a nawet nie bardzo skłonnego do pochwalenia się z otrzymanych rezultatów.

— To panie, nie te czasy, co były, to szkoda ust walać do tej gawiedzi. Jeszczem jak życie moje od nikogo tyle nie usłyszał, co dzisiaj od tej baby przeklętej. Wystaw że sobie proboszcz, że ja zacząłem a ona skończyła; ja rejterowałem, a ona nacierała, no i przyznam ci się, że naprawdę zrejterowałem, a i tak jeszcze doszły mię na końcu takie rzeczy, których nawet udałem, że nie słyszę, a z któremi i przed księdzem chwalić się nie zamierzam. Szatan nie baba!

— No dobrze, ale czegóż ona chciała?

— Ona chce, żeby się do jej dziecka, jak powiada, nie mięszać; — ona jest matka, a jej mąż ojciec, i oni od nikogo rozumu uczyć się nie potrzebują.

— O!... Aż tak?

— Ba! Żeby to tylko tak...

— Musiałeś się jegomość jednak źle wziąść do rzeczy — zauważył frasobliwie ksiądz.—Trzeba jej było, panie tego, wytłómaczyć, że bądź-cobądź jesteś pan dziecka opiekunem, że przecież i nieboszczykowi świadczyłeś... o czem ona wie dobrze, no i że na waszej ziemi od lat tylu siedzą, a więc...

— Eh, co tam ksiądz opowiadasz — przerwał niecierpliwie właściciel Poręby; idź ksiądz i zacznij z niemi, a z tego tonu, i przyjdź potem do mnie, to mi opowiesz, jak ci poszło. Ja już swoje zrobiłem i o drugiej próbie nie myślę wcale.

— No i o co się tak rozgniewała? może dlatego, żeś jej jegomość wspomniał pierwszego męża?

— Co to rozgniewała, to nie jest wyraz stosowny—to jak gdyby kto stawidła z upustu wyrwał jednym zamachem. Dostało się tam i mnie i księdzu i tamtemu biedakowi, co już w grobie spoczywa, a trzęsła się tak, jakby ją bies opętał. Przeklinała jego pamięć, wypominała jak to dwór umiał trafić do Kajetana, kiedy go potrzebował, jak to zawsze po Kajetana w dzień, po Kajetana w nocy, a potem co? Żeby on był, powiada, nogi wprzódy połamał, zanim się do dworu chodzić nauczył; zgubił poganin siebie, zgubił dziecko i mnie sierotę nieszczęśliwą... No i w płacz rozumie się po tem wszystkiem!

— To ona zawsze sierota?

— Co ksiądz żartujesz sobie. Mężczyzna w gniewie, czy on będzie człowiekiem ukształconym, czy prostakiem, to zawsze człowiek, do którego rozsądku nie tym to owym sposobem trafić można, ale baba prostaczka, jak się rozszaleje, to już tam niczego ludzkiego się w niej nie dopatrzeć.

— No i co będzie?

— A cóż ma być. Zaczęli oni ze mną z tego tonu, to potrafię ja im się odwdzięczyć tak, jak na to zasługują. Bądź-co-bądź spadkobiercą praw Kajetana jest Józiek nie ona, a tem mniej jej mąż, więc choć i z tego wisusa nic osobliwego chyba nie wyrośnie, ale raz, że to się stanie wedle słuszności, a potem że i im też się zapłata odemnie należy, więc bez skrupułu żadnego obejdę ja się z nimi przy tej sposobności, jak na to zasługują. Bądź proboszcz spokojny, zanadto mi dokuczyła dzisiaj.

— Byleś jegomość tylko mógł...

— Ja kiedy chcę, to zawsze mogę.

— No to byleś jegomość chciał.

— Masz ksiądz, przyznać trzeba, swoje niechybne sposoby doprowadzania mnie do rozdrażnienia. Już tylko niech proboszcz postara się zrobić z niego człowieka, to ja w tem, że go ojcowizna, nie tym to innym sposobem, dojdzie. Ostatecznie na spłacaniu długu wdzięczności, zaciągniętego u mnie, jeszcze się nikt nie zawiódł.

— Nie przeczę...

— Nie przeczysz proboszcz, a przeczysz jednak; przeczysz jakiemś podejrzeniem, jakąś nieufnością, czy wątpliwościami swemi, bo nawet nie wiem jak to nazwać... Jakże? milczysz ksiądz i teraz jeszcze?...

— Milczę, bo nie wiem, co powiedzieć.

— To źle właśnie.

— Bogaż tam dobrze! Ale widzisz jegomość, ja sobie tak myślę. Ja jestem stary i ze mnie pomocy w tej robocie wiele się spodziewać nie można. Jegomość jesteś człek dobry, nie ma wątpliwości, ale niewiadomo, jak to tam będzie u was ze wszystkiem dalej... Co tu się łudzić wreszcie! Jużciż na lepsze się z waści fortuną nie ma, jeno na gorsze, więc choćby i na chęciach nie zbywało...

— Niechaj się proboszcz o to nie kłopocze, nie tym to owym sposobem, ale w każdym razie wypłacić się potrafię.

— Daj Boże! Ja z pewnością życzę tego.

I tym razem rozstali się niezadowoleni z siebie. Wyraźnie ten nic dobrego Józiek zawsze ich musiał różnić między sobą, a nadejść miał wkrótce czas, w którym to poróżnienie ostrzejszy przybrało charakter. Jan Górecki zyskał w krótkim bardzo czasie zupełną przewagę w Porębie. Umiał on jak nikt sąsiadom doradzić, a że znał się na wartości oddawanych usług, więc nie dziw, że sobie za nie kazał zapłacić sowicie. Kiedy przyszło do formowania list, podała gromada ujęta obietnicami i trunkiem, Jana Góreckiego, na miejsce sukcesora Kajetana, owego Józka i tym sposobem wbrew słuszności wszelkiej wywłaszczono sierotę. Można było niby zaradzić na to, ale raz, że stało się wszystko pocichu — w tajemnicy, że wyszło dopiero na jaw po jakimś czasie, więc podstęp się powiódł, a potem umiał się ojczym Józka zabezpieczyć przeciwko ewentualnej interwencyj dworu i probostwa. Dwór milczał, bo mu zagrożono wielu powikłaniami, na które się mógł narazić; proboszcz milczał także, bo mu zapowiedziano wyraźnie, że czy od dworu, czy z probostwa wyjdzie protest, zawsze koszta zapłaci dwór. Oburzało się sumienie księdza; i sobie i dziedzicowi wyrzucał głośno, że po piłatowemu prawdziwie umyli ręce od tej sprawy, ale, że już dzisiaj wiedział dobrze, czego się może od przyszłej zamożności właściciela Poręby spodziewać, więc kołataniu do dworu dał za wygranę, a postanowił na własną rękę wypróbować siły wpływów na umysły gromady.

Niebawem przyszło mu jednakże sprawdzić, że i te wpływy należą do przeszłości.

— Jakeście wy mogli zrobić coś podobnego— strofował pewnego razu kilku najstarszych we wsi, którzy przyszli na plebanią, w sprawie pogrzebu jakiegoś razem z Janem Góreckim, teraz już sołtysem Poręby i właścicielem osady Józka. — Jakeście wy mogli tak niepoczciwie postąpić — wyrzucał ksiądz przybyłym.

Zażyci w ten sposób, próbowali wydobyć się z kłopotu zrazu milczeniem, następnie wybiegami, których lud nasz, gdy go do tego zmusi potrzeba, arsenał prawdziwy posiada.

— Dyć to, proszę dobrodzieja, wszystko jedno. Matka przecie siedzi na gospodarce, a i gospodarzem nie kto inny jeno swojak. Przecież ta oni chłopakowi krzywdy nie zrobią.

— Niechnoby on się tylko do roboty brał, toby się dla niego i u ojca miejsce znalazło — dodał drugi.

— To do was nie należy, wyście powinni teraz naprawić krzywdę; wy o tem myślcie a nie o tem, jaki on jest — protestował unosząc się proboszcz.

To uniesienie nie na wiele się przydało. Spojrzał po twarzach, zobaczył miny w części niechętne, w części znudzone kazaniem, po które tutaj nie przybyli wcale, spojrzał na Góreckiego, ten stał z boku, bynajmniej niezaambarasowany, owszem uśmiechał się szyderczo i wyzywająco, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Sprobujcie tylko!

Ksiądz wiedział, że próbować było niebezpiecznie. Gdyby szło o niego, nie byłby zważał niewątpliwie na to wszystko, ale trudno mu było wybrać między jednem złem a drugiem. Jużci krzywda sieroty była jawna i wyraźna, ale i krzywda strony stającej w obronie mogła być także nie ladajaka, a wiedział proboszcz, że się człowiek taki jak Górecki, przed niczem nie cofnie. Zresztą wszedł on już na tę drogę.

Zmilczał tedy na razie nie dając za wygranę, ale pewnej niedzieli przed nabożeństwem przyszło mu na myśl, czyby nie godziło się jeszcze raz spróbować odwołania się do uczuć tego ludu. Uważał sobie tę myśl za szczęśliwe natchnienie, i pod jego wpływem zrobił pod koniec kazania zwrot dosyć zręczny, przypominający sprawę pokrzywdzonego sieroty. Mówił gorąco, mówił wymownie nawet, i biorąc miarę z własnego wzruszenia, przekonanym był, że wzruszył tych, którzy go słuchali. W naiwności swojej oczekiwał też, czy przed wieczorem nie zobaczy ciągnących ku plebanii grup pojedynczych, jak to miewało miejsce dawniej, gdy jeszcze zwyczajem było przychodzić do niego o radę, pomoc, albo instancyę do dworu.

Pomylił się biedaczysko. Nikt nie przyszedł do starego proboszcza, natomiast tłumnie zebrano się w karczmie, a następstwa tych obrad i tych uchwał, które tam zapadły, dały mu się uczuć najbliższej zaraz niedzieli. Na mszy było tyle prawie ludzi, co zwykle, ale jak tylko wszedł ksiądz na ambonę, wysunęło się powoli wszystko, co wieś miała malkontentów bardziej zdecydowanych, tak że nauki dokończył ksiądz prędzej niż zwykle, i z wyraźnem na twarzy i w słowach pomięszaniem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Nauka i Wykształcenie.

Szczególnej uwadze rodziców, nauczycieli szkół początkowych, a przedewszystkiem nauczycieli i nauczycielek domowych, polecamy jako podręcznik małą książeczkę, noszącą tytuł: „Pierwsze wiadomości z geometryi doświadczalnej,” które z oryginału Pawła Berta przełożył na język nasz S. Srebrny. Wyszedłszy z zasady, że zadaniem nauki geometryi w szkole początkowej może być tylko podanie sposobów mierzenia otaczających przedmiotów, a nie samo poznawanie własności i wzajemnego stosunku figur płaskich, postąpił w wykładzie swoim Bert w sposób taki: Uprzystępnia on odrazu rzecz do tego stopnia, że już na 3 lub 4 lekcyi potrafi dziecko zmierzyć wysokość drzewa lub domu i tą właśnie metodą dochodzenia szybkiego do rezultatów praktycznych budzi zainteresowanie uczącego się. Jakąkolwiek przyszłość przewidujemy dla naszego dziecka, nadto czy to dziecko jest przyszłym mężczyzną, czy przyszłą kobietą, już ono w dzisiejszym stanie wymagań bez takich podstawowych wiadomości obchodzić się nie może i nie powinno.

Hygiena.

W sferach lekarskich poruszono ponownie, zaniechaną przez czas jakiś, myśl zjazdu lekarzy gubernialnych i powiatowych, a nawet poczyniono odpowiednie kroki dla uzyskania zezwolenia władz właściwych. Celem zjazdu jest zbadanie kwestyj sanitarnych, o ile te dotyczą naszych miast prowincyonalnych, i zebranie materyałów do uzupełnienia istniejących przepisów i urządzeń sanitarnych. W razie przyjścia do skutku projektu, zjazd miałby miejsce w Warszawie, w Kwietniu roku przyszłego

Wzrastająca ciągle newroza pokoleń młodych zmusza lekarzy-hygienistów do drobiazgowych badań wszystkiego, co dotyczy dziedziczności, wychowania pierwiastkowego, nauki, zabawy i systemu odżywiania rozwijających się organizmów. Ustalać się obecnie zaczyna mniemanie, że co się tyczy pokarmów właściwych lub niewłaściwych dla młodego wieku, kawa i herbata zajmują pierwsze miejsce w liczbie tych, które bezwarunkowo usuniętymi być powinny. W tych czasach przekonano się w Ameryce na przykład, że więcej niż dziewięć dziesiątych z ogólnej ilości dzieci uczęszczających do szkół, tych właśnie narkotycznych odwarów używa na posiłek ranny i wieczorny.

Nie brak też oznak zewnętrznych i funkcyj codziennych u dzieci dzisiejszych, po których da się rozpoznać stopień zakłócenia w ich systemie nerwowym. Między innemi charakter pisma, ma jak zapewniają, pewne cechy, po których dziecko nerwowe od dziecka normalnie rozwijającego się, łatwo rozróżnić można.

Odczyty.

Szereg odczytów tegorocznych rozpoczyna u nas profesor Wojciech Gerson, który w trzech prelekcyach publicznych przedstawi historyę szat używanych przez ludzkość od najdawniejszych czasów, aż do dni naszych. Szanowny prelegent uważa Egipt jako krainę, która w zamierzchłej cywilizacyi pierwsza pomyślała o dodaniu tego, co ozdobne do tego, co było dotąd tylko niezbędnem — nieuniknionem. Koleją rzeczy mowa była o Fenicyi, Indyach, Assyryi, Babilonie, Medyi i Persyi, a w końcu o Grecyi, jako par excellence krainie piękna,

Na posiedzeniu sekcyi Technicznej, wygłosił inżynier K. Obrębowicz w dniu 27 Października pogadankę naukową, której dał tytuł: „Kilka zagadnień z mechaniki wszechświata.” Treść odczytu była właściwie próbą wyjaśnienia ciążenia powszechnego wedle samodzielnego zapatrywania prelegenta. Próba ta opiera się na nowych wyobrażeniach o energii i jej rozchodzeniu się w ośrodku wszechświata.

Gospodarstwo domowe.

Przy schronieniu dla sług założoną została w ostatnich czasach staraniem warszawskiego Towarzystwa dobroczynności szkoła kucharek. Dla dogodności osób, które pragnęłyby oddać na naukę do tego zakładu własną służącą, zawiadamiamy, że koszta utrzymania i nauki przez cały czas pobytu wynoszą po 30 kop. dziennie. Sposobność praktyki jest zupełnie wystarczającą, albowiem, zakład posiada stołowników stałych, a rękojmię pożytku dla publiczności stanowi kontrola trzech dozorczyń, które zajmują się schronieniem i kuchnią. Adres: Świętokrzyzka numer 27.

Moda.

Ptaszki, które od pewnego czasu stanowią ozdobę kapeluszy damskich, w bardzo niedługim już czasie wyjdą z użycia. Jak nas zapewniają, damy, które są członkami Towarzystwa opieki nad zwierzętami, wystąpiły z projektem położenia końca niedorzecznej modzie, która istotnie wywołała hurtowne tępienie ptactwa, a mianowicie tak pożytecznego i miłego stworzonka jakiem jest jaskółka. Reformę rozpoczynają stowarzyszone od siebie.

W tych czasach podróżni jadący omnibusem, zauważyli młodą osobę, której twarz wyrażała zrazu dotkliwe cierpienie, a następnie przerażenie, przechodzące stopniowo w spokój marmurowy, który zwiastuje zbliżającą się śmierć. Jakoż przekonano się, że osoba ta nie żyła w samej rzeczy, a z papierów znalezionych przy niej zdołano się dowiedzieć, że nazywała się ona Florencya Dunnet. Autopsya wykazała następnie, jako przyczyną śmierci były zupełne zmiany zaszłe w płucach, wątrobie i sercu, a to wszystko na skutek długiego uciskania klatki piersiowej i żołądka sznurówką, którą znaleziono na ciele ofiary, a która wywoławszy wszystkie wspomniane zmiany, sprowadziła nakoniec śmierć nagłą.

Działo się to w Anglii ale nie przypuszczamy, aby sznurówki wywoływać mogły u nas następstwa mniej szkodliwe zdrowiu, ani żeby były mniej rozpowszechnione i mniej gorliwie stosowane przez nasze kobiety. Wielki też już czas na reformę.

Przemysł fabryczny.

Łódź wraz z okręgiem swoim wedle wykazów urzędowych taką odgrywa rolę w przemyśle krajowym:

Łódź ma fabryk 349, których produkcya roczna wynosiła cyfrę 67,917,200 rubli w roku 1895, zatrudniając robotników 40,054.

Zgierz ma fabryk 40, produkujących na summę 3,824,100 rubli; robotników 3,309.

Pabianice fabryk 9, wartość produkcyi 4 515,600 rubli, robotników 4,127.

Sprawy miejskie.

W krótkim czasie otrzyma Warszawa pewną liczbę ulic nowych. Nie licząc tych, które zjawią się w nowej dzielnicy mającej powstać na terrytoryum dzisiejszego szpitala Dzieciątka Jezus, między placem Wareckim a ulicą Marszałkowską, przybędzie nowa przecznica między Hożą a Wilczą. Żałujemy tylko, że ta ostatnia wraz z domami, które staną przy niej, pozbawi nas jedynej w tej stronie miasta oazy, a mianowicie ogrodu, stanowiącego niegdyś własność familii Kronenbergów.

Dzięki rozporządzeniom władzy wzmoże się nieco bezpieczeństwo przechodniów na ulicach Warszawy. Świeże postanowienie policyi zakazuje wyprzedzania się ekwipaży, które winny pilnować się swojej strony prawej, wozy z ciężarami obowiązane są jechać stępo, a dorożki na gumach, rozwożące w szalonym tempie, to co społeczność posiada najsympatyczniejszego i najużyteczniejszego zarazem, będą musiały odtąd hamować nieco swój pośpiech, pomimo że ci, którzy w nich si dują nie mają jak wiadomo czasu do stracenia. Szkoda! To takie było ładne. . i mądre.

Jedna ze znanych firm tutejszych wystąpiła do władzy z podaniem o zaprowadzenie między Warszawą a Pragą komunikacyi przy pomocy samochodów. Ten środek lokomocyi zyskujący zagranicą coraz szersze rozpowszechnienie wypiera na początek komunikacyą omnibusową. Co będzie u nas dalej trudno przewidzieć, ale szybkie i stanowcze udoskonalany samochód w ostatnich czasach zaczyna, w Ameryce mianowicie, zastępować i ekwipaż i tramway i kolej żelazną w bardzo wielu razach.

Wskazówki i rady.

Rada co do utrzymania śmietany.

Kto ma nie wiele mleka i musi dłużej zbierać śmietanę na masło, niech wsypie w śmietanę 6 łutów soli na garniec śmietany. Maślanki nie można już używać do kuchni, ale można ją z korzyścią użyć dla bydła, gdyż sól jest bardzo zdrową przymieszką w pożywieniu dla krów.

W zimie kiedy mleko dłużej stoi w piwnicy, formuje się na powierzchni rodzaj kożuszka, który smakuje goryczą, należy go tyłem noża ostrożnie zdjąć przed zebraniem śmietany, oddając go na zaprawkę do barszczu dla służby.

Jeżeli masło świeżo zrobione jest niesmaczne, należy je polupać w kawały, nalać świeżem słodkiem mlekiem, zostawiając w niem przez 24 godzin, następnie przerobić w tem samem mleku, wyciskając mocno z niego, lekko posolić, a będzie dobre do użycia.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Gamaston: Wiara... fragment z życia (ciąg dalszy). Z chwili. — Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Malarstwo. — Praca kobiet. — Zkąd się biorą przestępcy? obrazek z niedalekiej przeszłości (ciąg dalszy) — Kronika. — Wskazówki rady. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM: Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (ark. 11).

CENTRALNY SKŁAD
JAROSŁAWSKO-MOSKIEWSKICH FABRYKANTÓW
Nr 2. NOWO-MIODOWA Nr 2.

Otrzymał na ***sezon zimowy:***

Chustki wełniane. Kołdry bajowe i watowe. Barchany kolorowe i białe. Wełniane kaftaniki, kalesony, skarpetki i pończochy.

52125

NOWOŚĆ!!

Gotowe spódnice szewiotowe wierzchnie.

Skład zawsze zaopatrzony w wielki wybór *Płócien, Bieliznę stołową i gotową mężką.*

Przyjmuje się obstalunki na bieliznę mężką, damską i wyprawy.

Nr 2. NOWO-MIODOWA Nr 2.

NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE TOWARZYSTWO AKCYJNE

pod firmą:

„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne"

St.-Petersburg, Izmajłowski Prospekt № 27, dom własny,

założone w 1860 roku,

nagrodzone medalem złotym na wystawie w Paryżu w 1889 roku.

WODA KOLOŃSKA
podwójna.
WODA KOLOŃSKA
potrójna.
WODA KOLOŃSKA
Nr 4 ekstrakt.

PERFUMY
w wysokim gatunku
Champaka, Opoponax, Jockey-Club, Ixora-Bréonie, Violette-Nouvelle, Crab-Apple, Konwalja, Ess-Bouquet, Lilas de Perse, Héliotrop blanc i inne.

WODA KOLOŃSKA KWIATOWA

Bez-Perski
Heliotrop biały
Crab-Apple
Ess Flovers
Jaśmin

Akacya
Konwalja
Róża biała
Violette-Nouvelle
Késéda

i wiele innych zapachów kwiatowych.

Wyroby ***„St.-Petersburskiego Laboratoryum Chemicznego"*** nabywać można we wszystkich znaczniejszych Perfumeryach i składach Aptecznych. Kupujący raczą zwracać uwagę na **obok zamieszczoną markę** fabryczną i żądać wyraźnej firmy **„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne,"** posiadającej Skład Hurtowy tylko

u p. PAWŁA WOLLENBERGA

w Warszawie, przy ul. Żabiej № 3, (od Przechodniej № 4)

a nie zaś — **sklep detaliczny.** 5301

Handlującym wysyła się cenniki bezpłatnie.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474926

№ 4711. **MYDŁO DZIECINNE** № 4711.

(PRZESYCONE TŁUSZCZEM mydło tymolowe przygotowane podług przepisu d-ra med. **Eichhöffa,** naczelnego lekarza oddziału chorób skórnych w szpitalu miejskim Elberfeldzie). Nadzwyczaj delikatne **MYDŁO TOALETOWE** i z tego powodu zalecane do codziennego użytku jako dające się zastosować do każdej skóry a specyalnie do delikatnej damskiej i dziecinnej.

☞ Fabrykacya tego mydła odbywa się pod stałym nadzorem farmaceutów. Mydło dziecinne sprzedaje się przeważnie w aptekach i składach aptecznych. Przy kupnie prosimy zwracać uwagę na zatwierdz. fabrycz. markę **Nr 4711.** 51635

Biuro Nauczycielskie
JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazyum, **Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40,** tamże Zakład froeblowski **L. Jahołkowskiej.** 48466

PIERWSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
MME MERCÉRE

w Warszawie, Nowy-Świat 20. 508312

Na wzór zakładów zagranicznych kursy teoretyczne i praktyczne kroju, szycia, modelowania i pasowania fasonów bez rysowania form. System oryginalny **Paryski** i **Angielski.** — Łatwy wykład w 4-ch językach. Warunki przystępne dla każdego.

Po ukończeniu uczennice otrzymują **Patenty z cechu.**

Pensyonarki korzystać mogą z konwersacyi francuskiej i fortepianu.

SZKOŁA KROJU SUKIEN
i wielu dostępnych rzemiosł dla kobiet, otworzona w roku 1885,
A. KORYCIŃSKIEJ,

nagrodzona medalami na różnych wystawach: w Warszawie, Petersburgu, Chicago i obecnie na wystawie drugiej Hygienicznej

MEDALEM ZŁOTYM
TAMŻE ZAKŁAD GIMNASTYCZNY.

52914 ***Krakowskie-Przedmieście Nr 17.***

SPECYALNY MAGAZYN
OKRYĆ I FUTER DAMSKICH
A. Łojewskiej
10. BRACKA 10. 497710

Poleca **NOWE** fasony okryć jesiennych i zimowych, podług modeli paryskich od skromnych do najstrojniejszych. Żakiety od rs. 11, Burki od rs. 15, Peleryny od rs. 6. Rotandy, Paletoty na futrach i wacie. Oprócz gotowych rzeczy wielki wybór materyałów, z których przyjmuje obstalunki.

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
M-me TISSERANT
Mistrzyni Cechu,

W WARSZAWIE, ZŁOTA Nr 31. 49634

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynie i podmistrzynie. Pensyonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć. Fasony są do nabycia.

KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie,
poleca:

Po zdrowie, powieść *Exterusa* rs. 1.20
Bluszcz, historya małżeńska, *M. Gawalewicza.* 1.20
Cudak, powieść *M. Gawalewicza.* 1.20
Szubrawcy, powieść *M. Gawalewicza,* 3 tomy. 3.—
Klęska, powieść *K. Glińskiego.* 1.—
Tarantula, powieść prawdziwa *K. Glińskiego.* 1.40
Jak cień, powieść *Hajoty.* 1.20
Na służbie, powieść *Z. Kowerskiej,* dwa tomy. 2.—
Znane dzieje, powieść. **Floteczka.—Niańta.—Piotr i Paweł,** *Z. Kowerskiej.* 1.20
Szary wilk, powieść historyczna *A. Krechowieckiego.* Wydanie II-gie. 1.50
Melancholicy, nowele *E. Orzeszkowej,* 2 tomy. 2.—
Treść: I. Z pomroku. — Jedna setna. — Światło w ruinch. — Ogniwa. II. Ascetka. — Wielki. — Bracia.
Kroniki 1875 — 1878 *B. Prusa.* (Al. Głowackiego) 2.—
Pierwsze opowiadania *B. Prusa* (Al. Głowackiego). Wydanie II gie. 1.50
Placówka, powieść *B. Prusa* (Al. Głowackiego). Wyd. IV-te, przejrzane. 1.50
Komedyantka, powieść *Wł. St. Reymonta.* 1.50
Na wyżynach, powieść *M. Rodziewiczówny.* 1.50
Wojna w czasie pokoju, opowiadanie *Zofii Urbanowskiej.* 1.50

Marya Gajewska
WŁASCICIELKA MAGAZYNU MÓD
49956

przygotowała duży wybór kapeluszy na sezon Jesienny i Zimowy, jako też przyjmuje obstalunki podług najświeższych modeli.

Podwal Nr 16, w Warszawie.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75. kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. **„SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKONIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6, w Warszawie** 418194

---

413 11 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

NOWOŚĆ ŚWIEŻO WYDANA
NAJNOWSZA
WYROCZNIA PRZYSZŁOŚCI

wyjawiająca tajemnice życiowe, czyli sztuka dowiedzenia się o swoim losie za pomocą kart lub figur symbolicznych, zawierająca **800** nieomylnych przepowiedni, z dodaniem siedmiu czarodziejskich tablic, cena kop. **20**, pocztą kop. **25.** Do nabycia w księgarni **Ch. J. Rozenweina Marszałkowska 114,** oraz we wszystkich księgarniach, kioskach i na prowincyi. (Pocztą nadsyłać można markami). 52813

Lekcye Tańców tanio!

w domach prywatnych i pensyach.

Aleksandrya 20, Czarnecki. 51415

MAGAZYN FUTER I KONFEKCYI DAMSKIEJ
JAKUBA PAWEŁEK
ulica Czysta Nr 6.

Ma zaszczyt polecić wielki wybór wszelkiego rodzaju futer krajowych i zagranicznych w najlepszych gatunkach. Przyjmuje obstalunki na wszelkie okrycia damskie, jako to: rotundy, palta, żakiety, peleryny etc., podług najświeższych francuzkich i angielskich mód, oraz futra męzkie, palta i marynarki futrzane, płaszcze i t. p., które wykonywa jaknajstaranniej po cenach najprzystępniejszych. 50045

Zaprawa politurowa w masie na posadzki i podłogi, bezbarwna i w kolorach, fabryki Feliksa Wareckiego, Tłomackie № 13.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Октября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**